

## PAMIĘTNIK KS. PRAŁATA JÓZEFA BODUCHA, PROBOSZCZA W MĄTOWACH WIELKICH I MIŁORADZU 1946–1971

W styczniu 1999 roku, w trakcie przejmowania archiwum parafialnego w Mątowach Wielkich i przewożenia go do nowo powstałego Archiwum Diecezji Elbląskiej, wśród wielu cennych dokumentów, został odnaleziony maszynopis w trzech egzemplarzach opatrzony tytułem *Mój życiorys — pamiętnik*. Żaden z egzemplarzy maszynopisu nie posiadał jednak podpisu, stąd trudne było określenie jego autora. Dopiero analiza treści odnalezionych notatek oraz porównanie ich z powojenną obsadą duszpasterską parafii w Mątowach Wielkich, pozwoliły ustalić, że autorem odnalezionego maszynopisu jest ks. Józef Boduch, długoletni proboszcz mątowski.

Wydaje się celowe opublikowanie i udostępnienie szerszemu gronu czytelników treści krótkiego pamiętnika ks. Boducha. Jakkolwiek, sama treść i styl miejscami wydają się być naznaczone egzaltacją i przesadną drobiazgowością, co ostatecznie pozostawia się ocenie czytelników, jednak faktem jest, że publikowany pamiętnik jest rzadkim przykładem spuścizny po zmarłym kapłanie. Nieczęsto bowiem sami kapłani opisują swoje losy, przeżycia osobiste i doświadczenia duszpasterskie, stąd ich biogramy po śmierci nie wykraczają najczęściej poza krótkie nekrologi tworzone na podstawie akt kurialnych. Publikowane notatki dają także przyczynek do poznawania motywów migracji kapłanów na Ziemię Odzyskane w okresie powojennym.

Oddzielnym problemem jest jakość gramatyczna pamiętników. Widać w nich nadmierną barokowość formy, a poprawność stylu pozostawia często wiele do życzenia. Jest rzeczą oczywistą jednak, że całość została pozostawiona bez zmian. Także układ kompozycyjny wspomnień ks. Boducha pozostawia pewien niedosyt. Szczegółowa analiza czasów do II wojny światowej zderza się z dość powierzchownym potraktowaniem okresu powojennego, tj., okresu najbardziej interesującego czytelnika „Studiów Elbląskich”.

Brak jest daty wskazującej na czas powstania maszynopisu, jednak pierwsze zdanie sugeruje, że mógł on powstać w latach 70., czyli już po przejściu proboszcza mątowskiego na emeryturę. Pamiętnik ks. Józefa Boducha obejmuje wspomnienia od okresu dzieciństwa do pierwszych lat probostwa w Mątowach Wielkich, a więc około 60 lat życia. Należy wyrazić jedynie żal, że ks. Józef Boduch nie przelał na papier swoich wspomnień związanych z długim, bo 25-letnim duszpasterzowaniem w Mątowach Wielkich.

Oryginalny maszynopis pamiętnika znajduje się w aktach parafii Mątowy Wielkie w Archiwum Diecezji Elbląskiej.

## KS. JÓZEF BODUCH MÓJ ŻYCIORYS — PAMIĘTNIK

Pod koniec mojego długiego i pracowitego życia zapragnąłem skreślić swój życiorys — pamiętnik. Czytelnik z pewnością skorzysta i jeśli zechce znajdzie w nim wiele przykładów poświęcenia. Jest w nim parę wydarzeń cudownych, prawdziwych, wszak to osobiście przeżywałem i one były dla mnie zawsze zachętą do jeszcze większej pracy i poświęcenia.

Urodziłem się 23 maja 1888 r. w małej wiosce Żelichów, należącej do parafii Otfinów, w powiecie Dąbrowa Tarnowska, w województwie krakowskim. Żelichów oddalony jest od Otfinowa o 6 km i był własnością hr. Łubieńskich.

Moi pobożni rodzice Stanisław i Katarzyna ze Serusiów zaraz na drugi dzień po moim urodzeniu dali mnie ochrzcić, — i zostałem ochrzczony 24 maja 1888 r. w starym drewnianym kościele parafialnym w Otfinowie.

Pamiętam ten stary, drewniany kościół, bo do niego chodziłem z moimi pobożnymi rodzicami. Stał on blisko obecnego kościoła murowanego, przy pomniku śp. Księdza Aleksandra Ignakiego, naprzeciw obecnej wikarówki, przy wale Dunajcowym.

Moimi chrzestnymi rodzicami byli śp. Wojciech Boduch i Justyna Koziera moja wujenka z Woli Żelichowskiej. Ochrzcił mnie śp. ks. dr Józef Kasprzak, ówczesny proboszcz, były profesor Pisma św. w Seminarium Duchownym w Tarnowie, od którego chyba odziedziczyłem wielkie zamiłowanie do studium Pisma św.

Ze swoich dziecięcych i chłopięcych lat to pamiętam, że wspinałem się na płot, albo wychodziłem na stos gałęzi i podnosząc ręce do góry, śpiewałem „Gloria in excelsis Deo”, chociaż mnie tego nikt nie uczył. To mi przypominało później. Także był pobożny zwyczaj, że zboże przeznaczone do siewu, kropiono wodą święconą. Tę czynność mój ojciec powierzał mnie. Jedno i drugie, miłe wspomnienie, było zapowiedzią mojego przyszłego powołania kapłańskiego. Odnaczałem się także wielkim posłuszeństwem względem rodziców i w szkole. Nie było wypadku, żebym ich kiedy nie usłuchał. Raz zachorowałem, miałem gorączkę. Mój tato przyniósł mi do łóżka śniadanie. Kazał mi jednak przedtem zmówić pacierz. Podniosłem się, uklęknałem na łóżku, lecz zawróciła mi się głowa i upadłem. Tato powiedział: „Mój Józiu, pacierz jednak trzeba zmówić, ty nie możesz, jesteś słaby, to ja za ciebie zmówię pacierz”. I mój Kochany Ojciec ukląkł przy moim łóżku i głośno zmówił pacierz. Widzę go jeszcze dzisiaj klęczącego przy mnie. Jaka rzewna, budująca scena, to się do śmierci pamięta.

Zawsze pilnie uczęszczali moi kochani Rodzice do kościoła w niedziele i święta, w pierwsze piątki miesiąca, a my dzieci z nimi, choć było do kościoła w Otfinowie 6 km, a czasem słońca — i nie było wypadku, żeby nie byli w kościele.

Raz, a było to w pierwszy piątek miesiąca lipca, po powrocie z kościoła do domu, ojciec zmęczony, był wielki upały, powiedział mi: „Józku, ucz się, jak zostaniesz księdzem, wybudujesz w Żelichowie kościół, żebyśmy nie musieli tak daleko chodzić”. To jego pragnienie spełniło się, chociaż już tego nie dożył.

Żyła we wsi staruszka imieniem Franciszka Baran, liczyła 93 lata życia. Syn jej Andrzej chodził do pracy, pracował na szosie. Ona nic nie widziała, była zupełnie ciemna. Leżała na barłogu sama opuszczona, zawsze z różańcem w ręku, modliła

się głośno, śpiewała pobożne pieśni. Rodzice moi kazali mi tam pójść i codziennie nosiłem jej ciepłe obiady w dwóch garnuszkach w koszyku, w jednym garnuszku jakąś zupę, — najczęściej ziemniaczaną, albo słodką kaszę, tak nazywano kaszę jaglaną na mleku, a w drugim jakieś kluski, albo pierogi z serem, co zresztą sami mieliśmy na obiad. Mama przygotowywała jedzenie w garnuszkach i ja zawsze nosiłem. Babcia chwytła mnie za rękę i wzruszona z płaczem mówiła: „Niech cię Pan Jezus błogosławi, żebyś się wyuczył na co chcesz”. Modlitwom swoich rodziców i jej modlitwie zawdzięczam swoje kapłańskie powołanie i to, co dobrego w życiu swoim kapłańskim zrobiłem. Babcia Baranka żyła długo, i jak byłem na wakacjach, także jej nosiłem jedzenie. Umarła 15 sierpnia 1905 r.

W Żelichowie nie było szkoły podstawowej, zwanej wówczas szkołą powszechną. Od mojego kochanego ojca nauczyłem się czytania i pisania i rachunków i uczęszczałem do tak zwanej szkoły zimowej. Szkoła zimowa trwała od początku listopada do końca kwietnia. Mieściła się w domu Pawła Ciukaja, potem Andrzeja Mosia. Nauczycielem był Paweł Ciukaj. Był surowy, kij był często w użyciu. Mógł się kto nie nauczyć zadanej lekcji, to nasz nauczyciel mówił: „Jak cię łatnę, to ty się nauczysz”, i było lanie na ławie, to chłopcy ubierali najgrubsze spodnie, żeby nie bolało.

Raz wszyscy chłopcy dostaliśmy kijem za to, że pobieглиśmy na ślizgawkę na stawie zwanym „Skarwas”, a lód był cienki, załamał się, wpadliśmy do wody, zmokliśmy po pas i jeszcze było lanie.

Mój starszy brat Wojciech chodził do szkoły powszechnej w Gręboszowie, był bardzo zdolny, ukończył ją, lecz dalej nie chciał się uczyć. Ja zaś miałem wielką chęć do nauki.

Gdy moja starsza siostra Agata wyszła za mąż za Kazimierza Tarkę z Kłyzia, stolarza i rzeźbiarza i wyjechali oboje do Krakowa, bardzo prosiłem swego taty, aby mnie dał do szkoły do Krakowa i tak spełniło się moje gorące pragnienie nauki. W Krakowie zdałem egzamin pisemny i ustny do I klasy Gimnazjum św. Anny na Placu ma Groblach, nad Wisłą. Byłem pilnym w nauce i zdolnym chłopcem i pierwszym uczniem w klasie.

Przez cztery lata byłem ministrantem w kościele ss. Felicjanek na Smoleńsku, gdzie odbywa się dotąd całodzienna adoracja Najświętszego Sakramentu. Tu zaprawiałem się do nabożeństwa do Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie — stąd wyniosłem wielką miłość do Jezusa Eucharystycznego i zwyczaj przyjmowania Komunii św. duchowej jak również, że gdy przechodziłem kiedyś koło jakiegoś kościoła, zawsze wstąpiłem, aby się pomodlić przed tabernakulum, co jeszcze i teraz czynię.

Rodzice moi nie byli zamożni, było nas dzieci dziewięcioro a pola było 5 ha — nie mogli na mnie łożyć, utrzymywałem się z lekcji. Zawsze miałem świadectwa bardzo dobre, stopnie celujące.

W roku 1907 w lipcu przyjechał z Tarnowa do Siedliszowic ks. abp dr Leon Wałęga<sup>1</sup> z klerykami na wakacje. Zamieszkał z klerykami w pałacu hr. Wysockich.

<sup>1</sup> Abp Leon Wałęga (25 III 1859 – 22 IV 1933), biskup tarnowski, administrator apostolski diecezji tarnowskiej. Wyznaczony przez rząd austriacki na biskupa tarnowskiego, 15 IV 1901 otrzymał prowizję papieską, sakrę biskupią przyjął i rządy w diecezji objął 12 V 1901. Przyczynił się do rozwoju powołań kapłańskich, ożywił życie religijne wiernych, przeprowadził w 1928 I synod diecezjalny, utworzył wiele

Ksiądz Arcybiskup zawiązywał do siebie studentów z okolicznych wsi, mieliśmy przyjść ze świadectwami. Poszedłem ze swoim kolegą z Otfinowa Michałem Chłoniem. Ukończyliśmy obaj klasę IV gimnazjalną. Miałem świadectwo bardzo dobre, stopnie celujące, z religii miałem celująco z odznaczeniem, katechetą moim był ks. bp dr Stanisław Rospond. Ksiądz Arcybiskup przyjął nas do Małego Seminarium i dał nam po 20 koron austriackich, czym ucieszyliśmy się bardzo, jak i nasi rodzice.

Wypisałem się z gimnazjum św. Anny w Krakowie. Dyrektor gimnazjum St. Zawiliński niechętnie dał mi świadectwo odejścia, jako dobremu i zdolnemu uczniowi.

Wyższe gimnazjum imienia Kazimierza Brodzińskiego ukończyłem w Tarnowie, jako małoseminarzysta i po ukończeniu VIII klasy zdałem egzamin maturalny chlubnie.

Zostałem przyjęty do Wyższego Seminarium Duchownego w Tarnowie w 1911 r. Nauka i życie seminaryjne upływało spokojnie pod okiem Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa.

Nastał rok 1914 — początek pierwszej wojny światowej — wakacje, miesiąc sierpień. Parafia Otfinów budowała wielki piękny kościół obok starego drewnianego kościoła, w którym byłem ochrzczony, a który jeszcze stał.

Proboszczem w Otfinowie był ks. kanonik Piotr Podolski, wikariuszem ks. Antoni Kania, po nim ks. Wojciech Słonina.

Na wakacjach ze swoim kolegą, Michasiem Chłoniem, który był później proboszczem w Górze Ropczyńskiej — i tam umarł, chodziliśmy po wznoszących się murach kościoła, nosiliśmy cegłę po rusztowaniach.

W drugiej połowie sierpnia mord w Sarajewie — zamordowanie arcyksiężęcej pary, arcyksięcia Ferdynanda, który był następcą tronu w Austrii po Franciszku Józefie I — i jego żony, wstrząsnęło całym światem. Już zaczęto mówić o wojnie, Małopolska, Galicja należała pod zabór austriacki.

27 sierpnia o godz. 13-tej było całkowite zaćmienie słońca. Zupełny mrok, ciemno, zaczął wiać dosyć chłodny wiatr, ptactwo niespokojnie latało, było przeraźliwie ryczało. Ludzie z wielkim niepokojem mówili o wojnie. Za parę dni pobór do wojska, powołanie wszystkich roczników, ludzi starszych, do 45 lat — i wypowiedzenie wojny Rosji przez Austrię i Niemcy.

Byliśmy na IV-tym i ostatnim roku św. Teologii — było nas piętnastu. Wielkie Seminarium Duchowne zajęte zostało na szpital wojskowy.

W trudnych warunkach rozpoczął się nowy rok wykładowy w Seminarium Duchownym 1914, czwarty rocznik mieścił się w Małym Seminarium w pałacu biskupim przy ulicy Chyszowskiej. Zaś roczniki: pierwszy, drugi i trzeci mieściły się w willi Błonie nad Dunajcem. Tam było niewielkie gospodarstwo, willa piętrowa i kaplica. Od października do grudnia, 2 i pół miesiąca, wykłady odbywały się normalnie.

---

nowych parafii. Dnia 4 V 1932 zrezygnował z rządów w diecezji i osiadł w klasztorze w Tuchowie, zarządzając nadal diecezją tarnowską w charakterze administratora apostolskiego; por. P. N i t e c k i, *Biskupi Kościoła w Polsce*, Warszawa 1992, s. 218.

Po klęsce pod Kraśnikiem, wrzesień 1914 r. wojska sprzymierzone pod naporem Moskali cofnęły się na linię Karpat i Dunajca, front szedł linią Karpaty, Gorlice i Dunajec, obustronna strzelanina trwała do 1 maja 1915 r.

Najbardziej ucierpiało Błonie, ponieważ leżały tuż nad Dunajcem. Kule z karabinów maszynowych i ręcznych gęsto padały. W największym niebezpieczeństwie w nocy musieli klerycy opuścić Błonie i udali się przeważnie do swoich rodziców. Również bardzo ciężkie chwile przeżywaliśmy i my w Tarnowie, jak i całe miasto. Ulicami przejeżdżały konno z dzikimi śpiewami sotnie Kozaków i Czerkiesów i niebezpiecznie było pokazać się na ulicy. Dawał się we znaki brak żywności. Niemcy sprowadzili ciężkie haubice merzery i z lasów Radłowskich — odległość 30 km, ogromne pociski padały na miasto. Wysoko nad Siedliszowicami wisiał w powietrzu cepelin i obserwował ruchy wojsk i taborów rosyjskie.

Gdy wystrzelono taki pocisk, następowała bardzo silna detonacja, domy, kamienice zatrzęsły się w fundamentach, następnie w parę sekund dawał się słyszeć piekielny świst i straszliwy wybuch. Taki merzer wylatywał z haubicy pod pewnym kątem ostrym, leciał w górę do pewnej wysokości i z góry prostopadłe uderzał w oznaczony cel z ogromną siłą, wybuchał, domy waliły się w gruzy, tynk odpadał, gęste chmury pyłu i dymu unosiły się nad miastem, tak że było ciemno. Tak uderzył merzer w dworzec kolejowy, w gimnazjum realne, gdzie stały tabor, blisko pałacu biskupiego, tak silny był prąd powietrza, że połowę zabitego konia rzuciło nam do ogrodu. Merzer uderzył w zakład ss. Służebniczek Najświętszego Serca Jezusowego w Zbylitowskiej Górze, gdzie zginęło około 300 żołnierzy rosyjskich. Jeden merzer padł na planty blisko dworca kolejowego, padł na ziemię miękką, zarył się 1 m głęboko i nie wybuchnął. Rosjanie wykopali go i na otwartym wozie obwozili po ulicy Krakowskiej, na Rynku i ulicy Wałowej, jako dowód barbarzyństwa niemieckiego.

Dokuczał nam głód. Jedliśmy chleb pieczony z ziemniaków i żur gotowany nie z mąki lecz z otrąb, wcale bez omasty, jałowy. Ks. Arcybiskup zachorował na żółtaczkę. Ks. prefekt Franciszek Paryło wystarał się u pułkownika rosyjskiego niejakiego Markiewicza, że czasem mieliśmy mleko i chleb z mąki pszenicznej, co było wielką radością.

Wielu księży w parafiach umarło, były parafie bez księdza. Dlatego otrzymaliśmy wcześniej święcenia kapłańskie z rąk ks. Arcybiskupa w Wielkanocną niedzielę w 1915 r., a Wielkanoc w tym roku wypadła 25 kwietnia, w dzień św. Marka. Święcenia otrzymaliśmy w katedrze. Gdyśmy szli rano do katedry, prawie padały na Tarnów merzery, to z przerażenia na ulicy robiliśmy się tacy mali i tuliliśmy się do muru, lub pod parkan. W Tarnowie panował głód. Zaraz po święceniach poszliśmy pieszo na wyznaczoną placówkę duszpasterską z brewiarzem i tobołkiem w ręce, prawdziwie po apostolsku. Po mnie przyjechał mój kochany Ojciec jednym ślepym koniem, bo lepszego konia mu zabrano. Od Wielkiej Niedzieli 25 kwietnia do 1 maja panował względny spokój. W środę 28 kwietnia miałem prymicyję w maleńkiej murowanej kapliczce w Żelichowie. Moim manduktorem był ks. kanonik Podolski, kazanie prymicyjne powiedział ks. wikariusz Wojciech Słonina.

Stary kościół drewniany w Otfinowie, w którym byłem ochrzczony spalił się od szrapneli i granatów, nowy wielki murowany piękny kościół był w gruzach, jak i plebania i bardzo dużo domów w Otfinowie. Księża otfinowscy, ks. kanonik Podolski i ks. wikariusz Wojciech Słonina mieszkali w Kłyziu, w domu Wawrzyńca Tarki. U Wawrzyńca Tarki było także prymicyjne przyjęcie. Mięsa i masła na to przyjęcie znowu dostarczył jakiś pułkownik rosyjski.

Od środy jednak zaczęła się większa strzelanina. Artyleria niemiecka strzelała zza Dunajca na pozycje rosyjskie w Otfinowie, w Janikowicach, Pierszycach i Siedliszowicach. Prawie na naszych oczach została uszkodzona wieża na kościele w Odporyszowie i Gręboszowie przez artylerię niemiecką. Niemcy przygotowywali ofensywę na linii Karpaty, Gorlice, Dunajec.

O północy z 30 kwietnia na 1 maja obudziła nas straszna strzelanina. Granaty i szrapnele padały na Żelichów, zaczęły się domy palić. Kule z karabinów maszynowych i ręcznych dziurawiły ściany drewnianych domów, obraży na ścianach. Ludzie w popłochu ratowali życie i dobytek i uciekali wśród kul i pękających szrapneli przez Zapasternicę, Niwki do Zalipia, Oleśna, Podlipia. Tatowi padł od kuli koń przy wozie.

Była Niedziela Przewodnia. Tej niedzieli już księża nie przyszli do kaplicy w Żelichowie z powodu gęsto padających kul karabinowych i szrapneli.

Gdy się dzień zrobił 1 maja ujrzeliśmy posuwające się od Otfinowa, Janikowic i Siedliszowic wojska austriackie i niemieckie na Żelichów i Kłyż. W Żelichowie pełno wojska rosyjskiego. Każdy żołnierz rosyjski miał w tornistrze łopatę z krótkim stylem. Tą łopatą zrobił sobie w ziemi dołek, okopał się i tak ukryty strzelał. Wojska austriackie i niemieckie szły otwartym polem. Toteż dużo padało żołnierzy na polach diamenckich, a najwięcej Polaków, jak to widać z nazwisk na pomnikach na wielkich cmentarzach wojennych w Diamencie.

Niektórzy ludzie w Żelichowie przed kulami karabinowymi chronili się do piwniczek, lochów znajdujących się pod piecem chlebowym. Gdy dom pod słomianą strzechą zapalił się, nie mogli oni wydostać się i udusili się od dymu i ciała ich spaliły się na węgiel.

Tak zginęło około 30 ludzi, tak zginął Wojciech Guzik. Gdy nieco ustała strzelanina, odprawiłem Mszę św. w kapliczce. Było kilka osób. Na drodze pod kapliczką została ciężko ranna kulą Maria Tryt — nie można jej było zabrać i zmarła.

Zostałem sam z Najświętszym Sakramentem. Zabrawszy Sanctissimum, otulony lekkim płaszczem szedłem wśród gradu kul karabinowych i pękających szrapneli i granatów, które padały na drogę. Przycisnąwszy Pana Jezusa w puszce mocno do piersi i modląc się tak gorąco i ufnie, szedłem zupełnie spokojny z przymrużonymi oczyma. Chociaż ta droga z Żelichowa do Zapasternicza, krótka, może 1 km, przebyta z Najświętszym Sakramentem wśród kul, lecz pamiętam, nigdy jej nie zapomnę.

W ochronce w Zalipiu zastałem ks. dziekana Piotra Halaka, oddałem mu do rąk puszkę z Najświętszym Sakramentem i z wielkiego wzruszenia rozplakałem się jak dziecko, dziękując Panu Jezusowi za ocalenie. Razem z ks. dziekanem Halakiem pozostaliśmy w ochronce przez tydzień. Walki trwały jeszcze zacięte. Moskale trzymali się okopani w Żelichowie.

Któregoś dnia poszedłem ze św. Wiatykiem i Olejami św. do ciężko chorej na gruźlicę nauczycielki niejkiej Jadwigi Kluzowej w Zalipiu. Trzeba było iść przez wielkie błonie. Przedemną szedł ministrant z mosiężną latarnią, w której paliła się świeca. Chłopiec po drodze wymachiwał sobie latarnią. Nad Siedliszowicami wisiął niemiecki cepelin. Zauważyli to Rosjanie i sądząc, że tą świecą latarnią dają znaki cepelinowi o ruchach ich wojska, wzięli mnie za szpiega. Ledwo wróciłem od chorej, sotnia Kozaków otoczyła ochronkę, przeprowadzono bardzo ścisłą rewizję, wszystkie książki, brewiarze, papiery. Oczywiście nic takiego nie znaleźli. Lecz mimo to zabrano nas obu z ks. dziekanem Halakiem i zaprowadzono nas pod olszynkę na błoniu, gdzie mieliśmy być rozstrzelani. Lecz Pan Bóg tak zarządził, że w ostatniej chwili nadjechał na koniu pułkownik rosyjski, wstrzymał egzekucję, mieliśmy być jednak wywiezieni na Syberię. A tymczasowo wywieziono nas do Dąbrowy i trzymano pod strażą na plebanii. Wolno nam było jednak iść do kościoła i odprawić Mszę św. Tak byliśmy trzymani przez 10 dni.

Lecz front się zbliżał, było słychać coraz bliższe strzały i wybuchy szrapneli i granatów. Nagle jednego dnia o świcie ucichła artyleria, terkot karabinów maszynowych — pośpieszne marsze, to Rosjanie się cofali, żołdat pełniący straż w bramie plebanii uciekł. Odetchnęliśmy i podziękowaliśmy Panu Bogu. Po odprawieniu Mszy św. dziękczynnej wracaliśmy, ks. dziekan do Gręboszowa, a ja do Żelichowa, napotykając po drodze dużo poległych żołnierzy rosyjskich i austriackich, mówiliśmy różaniec za ich dusze.

Ksiądz Arcybiskup przydzielił mnie jako wikariusza wielce świątobliwemu ks. prałatowi Siemieńskiemu do parafii Szynwałd. U niego i przy jego boku stawałem pierwsze kroki w kapłaństwie. Do Szynwałdu odwiózł mnie mój Kochany Ojciec jednym koniem.

W Szynwałdzie i okolicznych wsiach panowała nagminnie epidemia czarnej ospy. Na twarzy i na ciele chorego na ospę człowieka występowały bąble mniejsze, większe, podobne do naparstka. Po paru dniach pękały i wylewała się z nich ciemna ropa. Gorzej było, gdy te bąble czerniały, bo taki chory umierał. Każdy chory tak bardzo był obsypany bąblami, że nie było miejsca zdrowego, żeby go namaścić Olejem św. U ludzi brak było bielizny, bielizny pościelowej, chorzy często leżeli na słomie, na ściotach, które przylepiały się do ciała. Był to okropny widok. Biedni chorzy. Ospa pozostawiała po sobie ślady. Chłopaki śmieli się z takiej dziewczyny, która przechodziła ospę, mówili, że na jej twarzy diabli groch młócili, nazywano ją dziobatą.

Epidemia ospy panowała szczególnie w Szynwałdzie, gdzie ludzie nie chcieli się poddać ochronnemu szczepieniu przeciw ospie. Codziennie zaopatrywałem kilka osób, dużo ludzi umierało. Zaraza panowała przeszło dwa miesiące. Każdego chorego ja zaopatrywałem, bo ks. prałat Siemieński był już starszy.

Ksiądz prałat Siemieński wybudował piękny kościół. Plany kościoła wykonał inżynier architekt Stapf z Tarnowa. Kościół już był zasklepiony, już były założone krokwie i do krokwi były przybite łaty, lecz jeszcze nie był kryty, nie można było dostać dachówki karpiówki, trzeba było ją sprowadzać z Czech.

A tymczasem miesiąc maj był mokry. Na sklepieniu kościoła była woda. Na prośbę ks. prałata chłopci okryli prowizorycznie piczarkami zrobionymi ze słomy. Mimo to woda przeciekała. Trzeba było ją po każdym deszczu wylewać wiader-

kami z tak zwanych koszów, czyli załamań dachowych. Widząc, jak bardzo martwił się ks. prałat, poświęciłem się tej pracy z całym zapałem, lecz zniszczyłem sobie przy tym rewerendę. Pomagały mi pobożne dziewczęta.

W parafii Szynwałd byłem rok. Byłem młody i niedoświadczony. Niepotrzebnie obraziłem się na jedną z siostr służebniczek NMP, nauczycielkę w Zakładzie Wychowawczym, poradziłem się jednego księdza i on mi źle doradził, prosiłem ks. Arcybiskupa o przeniesienie mnie z Szynwałdu, czym zrobiłem wielką przykrość ks. prałatowi Siemieńskiemu, bo on mnie bardzo lubił. Zostałem przeniesiony do parafii Bolesław, gdzie proboszczem był ks. kanonik Wojciech Młyniec. W parafii Bolesław byłem razem z ks. Stanisławem Królem obecnie proboszczem w Ciężkowicach, cztery lata.

W roku 1919 i 1920 po wojnie ukraińskiej i bolszewickiej wybuchły w parafii Bolesławskiej epidemie czerwonki i grypy i bardzo ludzie umierali. Po domach leżeli chorzy pokotem, w jednej izbie leżało kilkoro chorych w boleściach żołądka, jelit, straszliwa dezynteria, krwawa biegunka albo grypa, to wysoka gorączka, bez lekarstw, bez żadnej opieki. I bardzo ludzie umierali. Codziennie przez miesiąc było 5–6 pogrzebów. Trafiało się, że całe rodziny wymierały. Tak wymarła rodzina kościelnego Antoniego Sochy.

Zdarzyło się, że mój kolega ks. Stanisław Król wyjechał sobie do Gręboszowa do ks. Walentego Bogacza na cały dzień i noc na brydża. Ks. kanonik nie chodził do chorych, bardzo się bał, byłem sam, a tu tylu chorych. Codziennie zaopatrywałem kilkoro chorych. Spowiedź, Wiatyk święty, namaszczenie Olejem św. W pokoju, izbie, gdzie leżeli chorzy, nie było gdzie stąpnąć, wszędzie nieczystości, trzeba było rewerendę trzymać w ręce. Lekarz radził chorym na dezynterię jeść węgle, popiół z drzewa, to było jedyne lekarstwo. Biedni ludzie, bardzo cierpieli i umierali. W jednym dniu zaopatrzyłem 14 chorych. Gdy jechałem ze św. Wiatykiem, to za mną jechał cały sznur furmanek, i tak było od kwietnia do października, z fury na furę. Jedyńm moim lekarstwem był czosnek. I nie zachorowałem, choć bardzo dużo chorych zaopatrzyłem. Jedyńie tylko raz zasłałem, zemdlałem przy ołtarzu, w czasie odprawiania sumy, z wyczerpania.

Z Bolesławia zostałem przeniesiony na wikarego do Ropczyc w lipcu 1920 r. Proboszczem był ks. dr Jan Krzysiak, były profesor Pisma św. w Seminarium Duchownym w Tarnowie. Tu już miałem lżej, był osobny katecheta ks. Jan Mieczysławski. Mając więcej czasu, oddałem się studiom Pisma św. W tym celu poznałem się z ks. dr Józefem Kaczmarczykiem, profesorem Pisma św. Na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Po dwu latach zawakowało probostwo w Pleśnej.

Ks. arcybiskup Leon Wałęga polecił mi przez ks. kanclerza Romana Sitkę, który później zginął w Oświęcimiu w 1942 r., abym się podał na to probostwo, co też uczyniłem. Życzenie ks. Arcybiskupa było dla mnie rozkazem. I 23 czerwca 1923 r. przeniosłem się z Ropczyc do Pleśnej. W Pleśnej zachodziła pilna potrzeba budowy nowego kościoła. Stary kościół z 1642 r. drewniany, modrzewiowy, na parafię liczącą 4 tysiące dusz był bardzo mały, dach kryty gontami, przeciekało, przy większym wietrze trzeszczał, niebezpiecznie w nim było odprawiać nabożeństwa.



Już moi poprzednicy myśleli o budowie nowego kościoła. Ks. Wojciech Łątka, proboszcz i wicedziekan, ofiarował piękny plac pod nowy kościół i sprowadził 7 wagonów wapna, to wapno ugaszono, zalasowano i przykryte piaskiem, było bardzo dobre. Ks. Wojciech Łątka zmarł 14 sierpnia 1914 r. tuż przed I wojną światową.

Po ks. Wojciechu Łątce nastąpił na probostwo w Pleśnej ks. Jan Bajda, miał on najszczerze chęci, sprowadził 40 tys. sztuk cegieł, to już był początek. Na cały kościół i wieżę weszło 500 tys. sztuk cegieł, 10 wagonów wapna i 24 wagony kamieni na fundamenty i cokół. Kamienie sprowadzałem z kamieniołomów w Bogoniowicach i Ciężkowicach.

Ks. Jan Bajda wskutek przepracowania popadł w chorobę nerwową. Po jego dobrowolnej rezygnacji nastąpiłem na probostwo do Pleśnej 22 czerwca 1923 r. Skromną powitalną bramę na moje przyjęcie zrobił stary wójt Rafał Chochołowicz. Zaraz w następnym roku 20 kwietnia 1924, w Imię Boże rozpocząłem budowę nowego kościoła. Budowa trwała 6 lat.

Plany kościoła wykonał inżynier architekt Franciszek Miączyński, ze Spójni Budowlanej w Krakowie. Bardzo zdolny architekt, nie wymagający. Gdy go zapytałem, ile będą kosztować plany kościoła, to mi powiedział, żebym się o to nie martwił. W diecezji krakowskiej wybudował 20 kościołów, między innymi kościół w Poroninie koło Zakopanego, w naszej diecezji w Straszęcinie, i nie zrobił interesu (majątku) to i na mnie nie chce zrobić. Kościół w Poroninie bardzo piękny, warto zobaczyć. Jego styl w przeciwieństwie do pseudogotyków inż. arch. Zubrzyckiego, arch. Mikosia odznacza się pięknem, lekkością struktury, uderza prostolinijność, trochę z renesansu. W kościele w Pleśnej zamiast ciężkiego beczkowego sklepienia, lekki strop kasetonowy z drzewa modrzewiowego, co wygląda jak piękny mebel. Przypomina kasetony na Wawelu w Krakowie. W prezbiterium, zakrystii i kaplicy posadzka parkietowa dębowa, balustrada dębowa na podobieństwo machonia. Witraże projektowali p. arch. Miączyński, dr Małgorzata Maciągowa z Krakowa w stylu Stanisława Wyspiańskiego, św. Stanisław Kostka, św. Teresa od Dzieciątka Jezus.

Ołtarze stare zabytkowe, renesansowe, przeniesione ze starego kościoła odnowione i malowane na kolor lapis lazuli — głęboki błękit, jak i stara ambona, kolumny i kolumnienki w ołtarzu, kapitele złożone dukatowym złotem. Wieża i sygnaturka kryte miedzianą blachą. Cały kościół i sobótki kryte dachówką karpiówką.

Przy budowie kościoła, która trwała sześć lat, a kosztowała 350 tys. zł z materiałami i robocizną, Bogu dzięki, nie było nieszczęśliwego wypadku. Po otynkowaniu kościoła wewnątrz i obieleniu, przy rozbieraniu i usuwaniu rusztowania, jeden pomocnik niejaki Józef Wzorek z Kłokowej na dość wielkiej wysokości, około 8 m wysoko, odbijał deskę, przybitą do londynu kłamrą a siedział na tej desce. W pewnej chwili deska się oderwała i jemu groziło niebezpieczeństwo. To działo się na moich oczach. Zrobiłem nad nim ręką znak krzyża świętego i zawołałem: Jezus, Maria. I ten człowiek zdołał w ostatniej chwili chwycić się londynu i ocalał. Londyny, to wysokie grube pale, dragi, na których spoczywa rusztowanie. Odprawiłem przeszło 100 Mszy św. pro benedictione Dei in ecclesia

aedificanda, o błogosławieństwo Boże w budowie kościoła, jak ważne są i potrzebne Msza św. i modlitwa.

Kościół otynkowany wewnątrz i zewnątrz. Zewnątrz pobielony farbą kazeinową (serową, zrobioną z sera i wody wapiennej z dodaniem farby, jakiej się chce). Farba kazeinowa jest bardzo trwała, odporna na wpływy atmosferyczne. Po 38 latach nie spęzła, wygląda świeżo.

Lecz na cmentarzu kościelnym między kościołem a wyżej położoną plebanią pojawiła się woda i zaczęło się robić bagno. Z terenów położonych wyżej plebanii, z tak zwanej Gądówki woda zaskórna uderzała na kościół i na cmentarzu tworzyło się bagno. Kościołowi groziło niebezpieczeństwo.

Za radą architekta Miączyńskiego cały kościół otoczyłem i ująłem pierścieniem rur betonowych o przekroju 0,45 cm wkopanych poniżej bankietów, głęboko 2,50 m.

Do wykonania tej pracy sprowadziłem fachowych drenażystów z Lisiej Góry, silnych chłopów. Po półgodzinnej pracy w takim głębokim rowie, ci ludzie mdleli, tracili przytomność wskutek wydobywającego się gazu błotnistego, trzeba było ich ratować czarną kawą, wódką.

Ułożone betonowe rury przywalono aż do wierzchu piaskiem, żwirem i drobnymi kamieniami, które z dziećmi szkolnymi zbierałem w potoku w Rychwałdzie. W ten sposób kościół został uratowany i osuszony raz na zawsze. Woda zaskórna i deszczowa momentalnie wsiąka w piasek i kamienie, dostaje się do rur i rurami odpływa wylotem zrobionym niżej w ogrodzie plebańskim. Dla kontroli zrobiono pięć szachtów, studzienek, przykrytych z wierzchu betonową płytą.

Po otynkowaniu i obieleniu kościoła wewnątrz, po usunięciu rusztowań, ułożono posadzkę steingutową. Cztery okna owalne w prezbiterium wykonała firma witrażowa Zeleński w Krakowie, przedstawiające Ducha Św., Baranka, Kielich z Hostią i monstrancję. Również okna w nawach wykonała ta firma. Projektowała dr Małgorzata Staniągowa: św. Stanisława Kostkę i św. Teresę od Dzieciątka Jezus, według stylu Stanisława Wyspiańskiego, warto je widzieć.

Trzy zabytkowe piękne ołtarze jeden główny i dwa boczne odnowione, pomalowano na kolor lapis lazuli, kolumny, kolumnienki, kapitele pozłoczone dukatowym złotem i ustawiono w nowym kościele. Sklepienie kasetonowe ze sztucznych belek modrzewiowych, jak i drzwi wykonała stolarnia Sanguszki w Gumniskach.

W ostatnią niedzielę miesiąca października 1930 r. w Święto Chrystusa Króla, o godz. 6-tej rano przeniosłem Najświętszy Sakrament w procesji ze starego lichego kościółka do nowego, wielkiego i pięknego kościoła, jak również i obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, który sprawił jeszcze mój poprzednik śp. ks. Wojciech Łątka.

Dzień bardzo pamiętny, niezapomniany, głębokie przeżycie. Przenosząc Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie do nowego kościoła, modliłem się: „Panie Jezu Chryste, tak jak my przygotowaliśmy Ci ten nowy przybytek i nie żalowaliśmy ofiar i pracy dla chwały Twojej, tak mnie i wszystkich parafian przyjmij do Swego Królestwa w niebie, niech tam nikogo z nas nie zabraknie”.

Ofiarność i poświęcenia przy budowie kościoła u parafian były wielkie. Niejaka Ludwika Wójcik biedna wdowa złożyła na budowę kościoła piękną ofiarę. Po upływie roku powiedziała mi: „Nie żałuję, że złożyłam na kościół tę ofiarę, bo Pan

Bóg mi to wynagrodził. Przedtem miałam jedną lichą krowę, a teraz mam dwie dobre”. Zaslugują na szczególne uznanie parafianie Władysław Witalis z Rzucho-  
wy, Antoni Bibro, Wojciech Kuczara z Pleśnej oraz cała rodzina Budzików,  
gromada Kłokowa i zresztą cała parafią Pleśna.

Po przeprowadzeniu się do nowego kościoła, stary kościółek drewniany stał  
pusty, nieczynny. Bardzo Bogu dziękowałem, że mogłem spełnić pragnienie mego  
kochanego już zmarłego Ojca i swoje gorące pragnienie, aby stary kościółek  
drewniany przewieźć do Żelichowa i tam postawić.

Lecz jak każde dobre dzieło napotyka na trudności, tak i sprawa przewiezienia  
kościoła.

Ks. proboszcz w Otfinowie, kiedy się dowiedział, że zamierzam przewieźć  
drewniany kościół z Pleśnej do Żelichowa z obawy, że mu się Żelichów odłączy od  
parafii oftinowskiej, oskarżył mnie do ks. biskupa Franciszka Lisowskiego<sup>2</sup>  
w Tarnowie, że ja zaniedbuję swoją parafię, a mieszam się do jego parafii. Ksiądz  
biskup zabronił mi bywać w Żelichowie. Powiedziałem mu na to, że moi Rodzice  
już wprawdzie nie żyją, lecz mam w Żelichowie brata Jana i dwie siostry, to chcę  
ich czasem odwiedzić. Ksiądz biskup pozwolił, lecz o swoim każdorazowym  
przyjeździe do Żelichowa miałem zawiadomić ks. proboszcza oftinowskiego, co też  
z początku czyniłem. Zniechęcony przestałem nawet myśleć o rozbiórce starego  
kościoła i przewiezieniu go do Żelichowa. Myślałem, może nie ma woli Bożej bo  
i parafianie w Pleśnej do mnie samego wprawdzie tego nie powiedzieli, lecz do  
mojego ks. wikariusza Józefa Słowika, obecnego proboszcza w Sarnowie koło  
Mielca, że nie pozwolą rozbierać starego kościoła, że jak tu stał tyle wieków, to  
niech się i tu rozwali, a jakby jacy ludzie chcieli go zabierać, „to ich kijem  
odpędzą”.

Lecz sam Pan Jezus bezpośrednio i najwyraźniej tu wkroczył i swoją wolę  
okazał. W jaki sposób? Dokładnie opiszę. I to, co piszę jest najświętszą prawdą  
w najmniejszych szczegółach.

W wieczór listopadowy w 1935 r., wezwany pojechałem ze św. Wiatykiem do  
chorej starszej panny, niejakiej Anny Rymanowskiej w Rychwałdzie. Spowiadając  
ją, dostrzegłem na ścianie wiszący dość duży obraz na płótnie, który przedstawia  
„frasobliwego” Pana Jezusa, obraz bardzo piękny, poprosiłem i podarowała mi go.  
Obraz dałem do odnowienia prof. Gąsce w Muzeum Narodowym w Sukiennicach  
w Krakowie. Profesor Gąska odnowił go i uznał za bardzo cenny. Ta chora mi  
powiedziała, że ma go od swojego dziadka, a jej dziadek Antoni Rymanowski był  
lokajem u pani Eisenbach, dziedziczki majątku w Pleśnej, i od niej ten obraz  
otrzymał w pamiętnym roku 1846. Obraz ze czcią zawiesiłem sobie w pokoju nad  
łóżkiem.

W nocy z soboty na pierwszą niedzielę Wielkiego Postu w 1937 r. mam sen.  
W pokoju, w którym spałem, zrobiło się jasno. Obraz wisiał z boku, a widzę go  
przed sobą bardzo wyraźnie. Pan Jezus patrzy na mnie, podnosi prawą rękę do góry,  
otwierają Mu się usta, rozchylają wargi — to widzę — i poruszając lekko ręką,

---

<sup>2</sup> Bp Franciszek Lisowski (1 X 1876 – 4 VI 1939) sufragan lwowski, biskup tarnowski. Dnia 20 VII 1928 prekonizowany sufraganem lwowskim, sakrę biskupią przyjął 7 X 1928. Biskupem tarnowskim mianowany 27 I 1933; tamże, s. 125.

mówi wyraźnie, głośno i rozkazująco słowa: „Ty się ludzi nie bój, ale przenieś kościół tam, gdzie chcesz i umieść mnie w ołtarzu, bo ja chcę być tam czczonym”. Pod wrażeniem tego widzenia budzę się i zrywam, w pokoju ciemno, zaświeciłem świecą, godzina pół do drugiej, obraz wisi na swoim miejscu, a w uszach brzmia mi słowa Pana Jezusa. Ze wzruszenia i radości zaczynałem płakać i śmiać się. Już do rana nie spałem. Wszystkie trudności i przeszkody przestały dla mnie istnieć. Tak musi być, jak Pan Jezus powiedział.

Kościół jako zabytek podlegał Wojewódzkiemu Urzędowi Konserwatorskiemu w Krakowie. Pan architekt konserwator Bogdan Treter przyjął z wielkim zadowoleniem wiadomość o przewiezieniu kościoła do Żelichowa z dnia 1 czerwca 1937 r.

Nawet nie zawiadamałem ks. biskupa. Może by mi nie wierzono. Jedyne powiedziałem swoim parafianom w Pleśnej z ambony: „Na konserwację starego kościoła nie mamy funduszów. Co wam z tego przyjdzie, że kościół się tu rozwali? A gdy będzie przewieziony do Żelichowa i tam postawiony, to Pan Bóg będzie miał chwałę — ludzie będą się w nim modlić, i wy będziecie mieć satysfakcję, że w waszym starym wymodlonym kościółku ludzie czczą Pana Boga”. I nikt nic nie powiedział, nikt się nie sprzeciwiał.

Pojechałem do Żelichowa. W szkole było zebranie, przewodniczył bardzo zacy kierownik Władysław Łostowski. Wiadomość podaną przeze mnie, że mają jechać do Pleśnej, rozbierać kościół i drzewo przewieźć do Żelichowa i stawiać, że drzewa dokupią, przyjęli do wiadomości z wielką radością i zapałem. Zaraz na drugi dzień po zebraniu we wtorek przyjechało ze mną do Pleśnej 11 Żelichowian z cieślą Stanisławem Boduchem, aby stary kościół rozebrać, belki przesortować. Bardzo pragnąłem być przy rozbiorze starego kościółka. Było to we wtorek, z początkiem kwietnia, a we wtorek wypadła nauka religii w Rzuchowej. Prosiłem ks. Józefa Słowika, aby mnie zastąpił i za mnie uczył, jednak mnie nie usłuchał, musiałem sam pojechać i uczyć, przy rozbiorze nie byłem. Żelichowianie ze Stanisławem Boduchem kościół rozebrali w jednym dniu i przewieźli na 104 furach do Żelichowa. Kilka fur było z Pleśnej, jak Wojciech Kuczera, Antoni Knapik, z Rzuchowej Władysław Witalis, Antoni Bibro, z Kłokowej ludzie pełni poświęcenia, bardzo dobrzy. Z Pleśnej do Tarnowa jest 10 km, z Tarnowa przez Łęg, Niedomicę, Żabno, Otfinów do Żelichowa około 30 km, razem 40 km z Pleśnej do Żelichowa. Na ostatniej furze ja jechałem swoimi końmi. Za dużo mi naładowali, chciałem zabrać wszystko, fura naładowana była wysoko, siedziałem na belkach jak ptak. W Niedomicach naprawiali drogę, droga była wysypana piachem, koła ugrzęzły, konie ustały. Nie pomogło bicie. Trzeba było stać, padał deszcz, przemokłem. Był wieczór, ciemno. Żelichowianie dowiedzieli się, że jadę na ostatniej furze, wyjechali naprzeciw i wyratowali mnie z kłopotliwej i ciężkiej sytuacji.

Żelichowianie z wielkim zapałem wzięli się do budowy kościoła. Przystawiono go do starej murowanej kaplicy. Strop zrobiono kasetonowy z sosnowych belek, oszalowano wewnątrz i zewnątrz. Dach okryto gontami. Założono witraże. Wygląda bardzo pięknie. Bogu na chwałę, ludziom na zbawienie.

Pan Bóg mi bardzo błogosławił w pracy duszpasterskiej, w pracy z młodzieżą, w budowie jednego kościoła w Pleśnej, drugiego kościoła w Żelichowie, w budo-

wie ochronki w Rychwałdzie, domu katolickiego w Pleśnej, lecz odwiedzał mnie cierpieniami i krzyżami.

Przy końcu listopada 1938 r. w nocy o godz. 1.30 ktoś pukał do okna pokoju, w którym spałem. Obudziłem się i zawołałem: „Kto puka?”. Odpowiedział: „Józef Żurowski”. „Czego chce?” — zapytałem. „Ojciec mój bardzo chory, Stanisław Żurowski, na Górnym Rychwałdzie. Ma silną gorączkę, majaczy”. Na Górny Rychwałd nie było drogi, jechało się potokiem do góry, po kamieniach. Mam jechać na swoim koniu chorego zaopatrzyć, bo bardzo słaby. Syn Józef przyszedł tylko z latarnią.

Sam nie czułem się dobrze. Miałem grypę, byłem spocony w nocy. Stan podgorączkowy. Lecz cóż było robić? Trzeba jechać konno do góry po kamieniach. Obudziłem chłopaka, osiodłał mi klacz siwkę „Rusałkę”, przyprowadził pod zakrynię. Lecz ubrałem się dość lekko. Wziąwszy Najświętszy Sakrament dosiadłem klaczy i jadę w stronę południa. Przedemną idzie z latarnią syn chorego. Wiatr wieje dość ostry. Gdy minąłem dom Wojciecha Kuczery, zaczął padać zimny deszcz ze śniegiem. A ja słabo ubrany, na głowie tylko biret, w pośpiechu nie wziąłem sobie kapiszona, miałem na sobie tylko jesionkę, postawiłem kołnierz. Jedną ręką przyciskam do piersi bursę z Najświętym Sakramentem, w drugiej ręce trzymam wodze i klacz, bojąc się, by nie utknęła na dość dużych kamieniach i abym nie spadł na kamienie i do wody. Chłopak z latarnią skakał po kamieniach. A tu pada. Tylko mokrym rękawem ocierałem sobie twarz. Lecz na twarzy czułem lód, deszcz ze śniegiem zamarzył mi na prawym policzku. Po przeszło godzinę trwającej jeździe, zajechałem, chorego zaopatrzyłem, chory wyzdrowiał, a ja nabawiłem się bardzo bolesnej neuralgii, tj. zapalenia nerwu trójdzielnego prawej strony twarzy. To bóle napadowe bardzo dokuczliwe. Żadne środki znieczulające nie pomagały. W czasie kazania, gdy mnie wielki ból wykrzywił twarz, zasłaniałem się Ewangelią i kończyłem kazanie. Ludzie jednak zauważyli, że muszę cierpieć.

Po sześciu latach takich bólów za radą prof. chirurgii kostnej dr Tadeusza Choróbskiego poddałem się operacji w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie przed powstaniem warszawskim<sup>3</sup>. Leżąc na stole operacyjnym, rozmyślałem o męczeństwie św. Bartłomieja Ap., który w dniu 24 sierpnia był umęczony za Chrystusa. Przecież ja tak nie cierpię, bo z niego żywcem ściągnięto skórę.

Po operacji czułem się dobrze, bóle zaraz ustąpiły, rana szybko się goiła tak, że już za tydzień mogłem odprawić Mszę św. i powiedzieć egzortę dzieciom na rozpoczęcie nowego roku szkolnego 1 września. To jeden krzyż.

Drugim krzyżem było zupełnie niesłuszne posądzenie mnie o defraudację 10.072 zł kościelnych pieniędzy w Pleśnej. Przecież nawet swoje prywatne pieniądze łożyłem w budowę kościoła. Chowałem dobre rasowe konie, kupowało je wojsko. O tym wiedziała parafia. Jak to się więc stało, że zostałem posądzony o sprzeniewierzenie tak dużej wówczas sumy, to było i jest jeszcze dotąd dla mnie tajemnicą.

Kuria Biskupia zażądała ode mnie rachunków z budowy kościoła wraz z pokwitowaniami za wydatki na materiały budowlane i robociznę. Rachunki

<sup>3</sup> Ksiądz Boduch podaje w pamiętniku rzekomą datę operacji 24 sierpnia 1944 r., lecz z całą pewnością pomyłony został rok.

zawsze dokładnie i sumiennie prowadziłem i kwity miałem w porządku, jak gdybym to przewidział. Te moje rachunki kontrolował w Kurii Biskupiej ks. kanonik Walenty Chrobak.

Po miesiącu od dnia przesłania rachunków Kuria Biskupia przesłała mi pismo, wyrażające mi naganę za sprzeniewierzenie 10.072 zł kościelnych pieniędzy i domagające się ode mnie zwrotu tej sumy.

Zostałem uderzony jak obuchem w głowę, bardzo się zmartwiłem, zachodziłem w głowę, jak to się mogło stać. Złodziej mi tych pieniędzy nie ukradł. Początkowo w swej naiwności uwierzyłem i myślałem wysprzedać cały swój inwentarz, lecz i tak nie wystarczyłoby na pokrycie tej sumy.

Gdy tak bardzo się martwiłem, będąc w sytuacji bez wyjścia, przyszedł mi z pomocą sam Pan Bóg i to w sposób cudowny. To pismo i zwrot księgi rachunkowej otrzymałem w sobotę, a we wtorek, — pamiętam dokładnie, — miałem Mszę św. przed obrazem Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Po spożyciu Najświętszego Sakramentu, po Komunii św., a przed ablucją, podniosłem oczy na obraz Matki Bożej, Twarz jej wydała mi się dziwnie uśmiechnięta, rozpromieniona, oczy Jej bardzo miłe zwrócone na mnie. Przedziwne widzenia. I od razu najwyraźniej zobaczyłem w duszy, gdzie i na której stronie księgi rachunkowej przy kontrolowaniu rachunków w Kurii Biskupiej popełniono błąd na moją niekorzyść. Z radości i wzruszenia stanęły mi w oczach łzy. Po Mszy św. pobiegłem na plebanie. Przeglądałem rachunki i przekonałem się, że tak jest, jak to miałem objawione podczas Mszy św. Nie doniosłem o tym widzeniu Kurii Biskupiej, — nie wierzone by mi.

Miałem ks. wikarego Józefa Słowika. Był to kapłan bardzo dobry, świątły. Powiedziałem mu o co chodzi i prosiłem, żeby przeglądał rachunki z budowy kościoła, które mu wręczyłem. Po dwu godzinach oddał mi te rachunki i powiedział, że w Kurii Biskupiej popełniono pomyłkę, że ja mam słuszność.

Napisałem do Kurii Biskupiej, zaznaczyłem, gdzie popełniono błąd, — nic mi nie odpowiedziano. Napisałem drugi raz po dwu miesiącach, także Kuria nic mi nie odpowiedziała. Wtenczas udałem się z księgą rachunkową do sądownie zaprzysiężonego rachmistrza przy sądzie Okręgowym w Tarnowie Pana Tadeusza Chaińskiego. Pan Chaiński to samo stwierdził. Jego pismo posłałem do Kurii Biskupiej, która i tym razem nic mi nie odpowiedziała, tylko dowiedziałem się ubocznie, że mi wzięto za złe, iż udałem się do sądownie zaprzysiężonego rachmistrza. Lecz cóż miałem robić? Ten jednak był skutek, że Kuria Biskupia nie domagała się więcej zwrotu tej sumy, o którą mnie niesłusznie posądzono, ale posądzenia niestety nie odwołano.

Czułem się zniechęcony i zrażony do władzy. Nie pozostało mi nic innego, jak przenieść się do innej diecezji, a na razie na inne tylko probostwo. Jeden nauczyciel współczując mi, powiedział: „Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść”. Tym murzynem byłem w Pleśnej, zrobiłem bardzo dużo, zrobiłem co tylko mogłem i jeszcze więcej dla Pana Boga i zbawienia ludzi. Teraz spokojnie mogę odejść.

Brzozowa pod Zakliczynem, w powiecie Brzesko, zamierzała stawiać kościół. Mimo wszystko uśmiechnęła mi się myśl budowy kościoła. Chociaż pamiętam słowa ks. prałata z Szywnawądu, który mi powiedział, jak zaczynałem stawiać kościół w Pleśnej: „Ty chcesz stawiać kościół? Przedtem idź na cmentarz i zrób sobie grób

na cmentarzu. Nieraz doznasz tyle przykrości, zawodów, że będziesz chciał uciec i chętnie ukryć się w grobie”. Lecz pomyślałem jeszcze: Kapłan wyświęcony na prace, trudy, zawody, cierpienia, musi iść per viam crucis, za Panem Jezusem drogą krzyża, i słowa: choćbyś nie zrobił, zawsze rób, ciebie, nie dzieło weźmie Bóg.

W dniu 2 kwietnia 1942 r. zamieniłem się z ks. Marcinem Konickim, on przyszedł na moje miejsce do Pleśnej, a ja przeniosłem się do Brzozowej. Do budowy kościoła w Brzozowej jednak nie doszło z braku zgody parafii. Ale były to czasy drugiej wojny światowej. Niemcy się srożyli. Ja umiejac po niemiecku, mogłem często występować w obronie parafian.

W lasach brzozowskich, na tzw. Polichtach i w Jamnej, ukrywali się partyzanci, AK-owcy. Było ich około 300 ludzi. Między nimi byli i skoczki z Anglii, jak porucznik Górecki.

Robili oni wypady na Niemców, na pociągi wiozące amunicję z Tarnowa na Nowy Sącz, rozkręcali szyny kolejowe. Niemcy przeprowadzali tzw. pacyfikacje w sposób krwawy na bezbronnej okolicznej ludności. W dzień srożyli się Niemcy. Gdy robił się wieczór, Niemcy uciekali, bo w okolicznych lasach ukrywali się partyzanci. Trzeba było im w nocy piec chleb, dostarczać mięsa.

Ostrzegałem partyzantów, że Niemcy przeprowadzą pacyfikację w sposób krwawy. Partyzanci lekceważyli ich sobie. Porucznik Górecki, który u mnie był w nocy, powiedział mi, że „partyzanci mają taką broń, o jakiej Niemcom się nie śniło”.

W dniu 14 lipca 1944 r. przyszło do bitwy między Niemcami a partyzantami w Jamnej. Jamna to wioska górską, położona w stronę Jastrzębi. Partyzantów zginęło około stu. Niemców zginęło więcej, — lecz partyzanci żeby się nie dać otoczyć, musieli uciekać wozami przed przeważającymi siłami niemieckimi i wycofali się w stronę Rudy i Zakliczyna. Między innymi z partyzantów zginęli Karol Gagola i Stanisław Potępa z Brzozowej, zginął i porucznik skoczek Górecki na polanie w pobliżu domu niejakiego Wojnara. Po ustąpieniu Niemców dano mi znać i poszedłem na plac bitwy. Poznałem go, miał czaszkę rozerwaną, mózg wypłynął. Pochowałem go na miejscu gdzie poległ, postawiłem krzyż brzozowy — było ze mną kilka osób.

Na drugi dzień 15 lipca 1944 r. — Święto Matki Boskiej Szkaplerznej — odpust parafialny. A tymczasem jak się tylko dzień zrobił, przyjechali Niemcy samochodami pancernymi i z psami wilczurami urządzili obławę na ludzi za to, że dawali schronienie partyzantom. Znowu ostra strzelanina, choć właściwie nie było partyzantów, których oni nazywali bandytami. Około 20 partyzantów ukryło się na strychu drewnianego kościoła zabytkowego. Niemcy wypędzali wszystkich ludzi z domów, nawet dzieci wśród ujadania i szarpania psów. Prowadzili nas pod szkołę nad potok, szkoła była ogrodzona, tam nas zgromadzili. Niejaki Eugeniusz Cieśla, artysta malarz, obecnie w Poznaniu, próbował uciekać, miał być rozstrzelany. Strzelali do drewnianego kościoła. Wyprowadzono i mnie wraz z gospodynią z plebanii, szedłem z ludźmi z różańcem w rękę, modliłem się. Szliśmy otoczeni przez gestapowców, szarpani przez wilczury. Wszystkich ludzi spędzili pod szkołę. Na nas skierowano lufy karabinów maszynowych, łopaty do kopania wspólnego grobu, worki z piaskiem, mieliśmy być dziesiątkowani. Przy stoliku spisywano

kolejno wszystkich. Pani Stanisława Gniadek z dziećmi, której mąż porucznik WP był w Oflagu w Niemczech płakała. Położenie nasze było pełne grozy.

Było południe, ogromny upał. Przyszła mi szczęśliwa myśl, ratować ludzi we wszelki możliwy sposób. Miałem przygotowane przyjęcie dla księży, jakich spodziewałem się na odpust. Wystąpiłem z szeregu, przystąpiłem do komendanta i powiedziałem po niemiecku: Jest wielki upał, panowie zmęczeni, ja mam piwo. Proszę iść za mną. Spojrzeli na mnie już nie groźnie. Wer bist du? Jestem tutejszym proboszczem, dzisiaj jest parafialny odpust, spodziewałem się gości, przygotowałem obiad, goście nie przyjadą, bardzo proszę panów na plebanię. Uśmiechnęli się. Pomyślałem: Bogu dzięki, jesteście uratowani. Esesmani wstrzymali egzekucję i kazali swoim podkomendnym czekać aż wrócą. Kazali mi żebym ich prowadził. Ale ja tu mam swoją gospodynię, — puścili ją. Prosiłem i o Panią Gniadową z dziećmi, — i ją puścili. Obróciłem się do ludzi i powiedziałem: Bądźcie cierpliwi, niech nikt nie waży się uciekać, módlcie się, a wszyscy będziecie wolni. Odprowadziłem ugoszczonych, upojonych, zadowolonych Niemców. Potem jeszcze odważniej mówię do nich: Proszę Panów, ci wszyscy ludzie są niewinni, tu nie ma bandytów, ja ręczę za to swoim życiem. A ten — wskazali na Eugeniusza Cieślę? I ten nie bandyta, — A czemu uciekał? Odpowiedziałem: Bo głupi. Poszwargotali między sobą. Podali mi rękę, a wszystkim ludziom kazali iść do domu. Nawet nikogo nie zabrali na przymusowe roboty, na wywóz do Niemiec.

Po ustąpieniu Niemców na Ziemiach Odzyskanych był bardzo wielki brak księży, a kościołów dużo. Zapragnąłem tam pracować. W sierpniu 1946 r. pojechałem zobaczyć polskie morze Bałtyk, Hel, Jastarnię, Gdynię. Udałem się do Oliwy, stolicy biskupiej. Ówczesny administrator apostolski, a dzisiaj biskup we Wrocławiu Andrzej Wronka<sup>4</sup> przyjął mnie z wielką radością. Prawie w tym dniu była u niego delegacja z Małtów Wielkich z Panem Franciszkiem Millerem. Więc zaraz posłał mnie do tej parafii.

W dniu 16 września pojechałem do tej parafii z inwentarzem żywym i martwym. Inwentarz żywy wnet sprzedałem, pole plebańskie upaństwowiono, brak odpowiedniej służby. Zostawiono przy kościele tylko ogród.

Pomimo, że uczyłem w szkołach nauki religii, oddawałem się studiom Pisma św. wieczorami i nocami przez dziesięć lat. Lecz wskutek umysłowego wyczerpania i nieprzespanych nocy nawróciła mi się moja choroba tj. neuralgia w prawej stronie twarzy. Znowu miałem dokuczliwe bóle, lecz mimo to pisałem i w szpitalu w Elblągu i w szpitalu akademickim w Gdańsku. Jedną ręką pisałem, a drugą trzymałem się za twarz, bo bardzo bolała. Musiałem się jednak znowu poddać operacji nervus trigeminus, której dokonał dr Marchlewski w szpitalu akademickim w Gdańsku 29 listopada 1959 r.

Pomimo wielkich cierpień nie przerwałem studiów Pisma św. i swojej pracy pisarskiej. Mianowicie Pan Bóg mi dopomógł i napisałem dzieło pt. „Pan i Jego

<sup>4</sup> Bp Andrzej Wronka (21 X 1897 – 28 VIII 1974), sufragan gnieźnieński, sufragan wrocławski. Dnia 1 VIII 1945 mianowany przez kard. Augusta Hlonda, na mocy jego specjalnych uprawnień, administratorem apostolskim diecezji gdańskiej i chełmińskiej. 1 VII 1946 przekazał władzę w diecezji chełmińskiej bp. K.J. Kowalskiemu. 30 V 1957 mianowany biskupem sufraganiem gnieźnieńskim skierowany do pracy duszpasterskiej we Wrocławiu. Sakrę biskupią przyjął 29 XII 1957 na Jasnej Górze. 16 X 1967 mianowany oficjalnie sufraganiem wrocławskim. Por. tamże, s. 229.



Matka”, tj. całe życie Pana Jezusa i Matki Boskiej na podstawie egzegezy Pisma św., które to dzieło krytyka bardzo pochlebnie oceniła.

Ks. Biskup Edmund Nowicki<sup>5</sup>, ordynariusz gdański, przywiózł z Rzymu dwie książki w języku niemieckim, jedną książkę pt. „Das geistliche Tagebuch” — Jan XXIII — stron 700, a drugą książkę pt. „Ich bin Christ. Frühchristliche Martyrerakten” von Odo Hagemeyer u. Basylisse Hartgen OSB, — stron 252. Ks. Biskup dał mi te obie książki, abym je przełożył na język polski, co też uczyniłem, a czym się ks. Biskup bardzo ucieszył.

Napisałem także dzieło pt. Charakterystyka Osoby Pana Jezusa 60 stron maszynopisu i „Życie wielebnej sługi Bożej Doroty Mątowskiej” — 50 stron. Razem 2 tys. stron rękopisu, to praca i trud wielu późnych wieczorów i kilku lat nieprzespanych nocy.

Do tego trzeba jeszcze dodać pracę magisterską pt. „Przypowieści Pana ze szczególnym uwzględnieniem przypowieści o siewcy” — stron 150, razem więc ponad 2 tys. stron.

Komu to zawdzięczam? Dobry Bóg to sprawił. Najlepszej Matce Bożej to zawdzięczam, że przyjechałem do diecezji gdańskiej, że się znalazłem w parafii Mątowy Wielkie, gdzie napotkałem piękną bibliotekę i że miałem natchnienie i zapął do pracy naukowej i pisarskiej.

Jakkolwiek jeszcze te moje prace nie poszły do druku, to jednak przepisane na maszynie są czytane. Czytano je w mojej rodzinnej wiosce Żelichowie, są w Rzymie, Citta del Vaticano, Studium Leonianum, są także w Ameryce u mojej siostry Zofii Kmieć w Ipswich Mas i u mojego bratanka Feliksa Boducha w Chieopee Falls.

Gdy napisałem te swoje dzieła, szczególnie „Jestem chrześcijaninem”, o świętych męczennikach, i o błogosławionej Dorocie Mątowskiej, która sobie zadawała tak wiele umartwień i cierpień, — i ja zapragnąłem cierpieć z miłości i wdzięczności ku Bogu. W tym celu odprawiam przynajmniej raz w tygodniu Drogę Krzyżową, Różaniec, trzy części odmawiam w kościele. Często w ciągu dnia i nocy budzę w sobie akty strzeliste. Także modliłem się o jaki krzyż, o jakie cierpienie. I zaraz na drugi dzień po modlitwie powróciła neuralgia. Lecz po miesiącu ustąpiła.

## I ZA TO i ZA WSZYSTKO BOGU DZIĘKI. *TE DEUM LAUDAMUS...*

Ks. Józef Boduch przez kilka powojennych lat z powodu braku kapłanów obsługiwał duszpastersko poza Mątowami Wielkimi także kilka sąsiednich parafii tj. Miłoradz, Gnojewo i Kończewice. Przez pewien czas spełniał obowiązki wizytatora nauki religii a w latach

<sup>5</sup> Bp Edmund Nowicki (13 IX 1900 – 10 III 1971), koadiutor i biskup gdański. W latach 1945–1951 był administratorem apostolskim w Gorzowie Wlkp. Po usunięciu przez władze państwowe z Gorzowa Wlkp. mianowany biskupem rządcą diecezji gdańskiej. Sakrę biskupią przyjął z zachowaniem dyskrekcji 24 IX 1954 w Poznaniu. Rządy w diecezji gdańskiej objął 8 XII 1956. Ordynariuszem diecezji mianowany 7 III 1964; por. tamże, s. 149.

1946–1960 był dziekanem dekanatu nowostawskiego z siedzibą w Mątowach Wielkich. W 1971 r. przeszedł na emeryturę, lecz jako rezydent pozostał w swojej dotychczasowej parafii. Pomimo choroby serca pod koniec życia stale aktywnie angażował się w posługę duszpasterską.

Ksiądz prałat Józef Boduch zmarł w Uroczystość Zwiastowania Pańskiego 25 marca 1974 r. w godzinach wieczornych, na plebanii w Mątowach Wielkich. Przed śmiercią został zaopatrzony sakramentami świętymi przez proboszcza mątowskiego ks. Gerarda Maternickiego. Główna uroczystość pogrzebowa odbyła się 28 marca 1974 r. o godz. 10.00. Uroczystej Mszy św. z kapłanami dekanatu przewodniczył wikariusz generalny diecezji gdańskiej ks. infułat Bernard Polzin. Ciało zmarłego spoczęło na cmentarzu parafialnym przy kościele w Mątowach Wielkich, obok poprzedniego proboszcza ks. Terleckiego<sup>6</sup>. *Requiescat in pace!*

---

<sup>6</sup> Por. W. Żywiński, *Wspomnienie o śp. ks. szambelanie mgr. Józefie Boduchu*. Miesięcznik Diecezjalny Gdański 3–6 (1974) s. 123 n.